

Andrzej Juliusz Sarwa

Poezje zebrane



Armoryka

Andrzej Juliusz Sarwa

Poezje zebrane

Andrzej Juliusz Sarwa

Poezje zebrane

Armoryka
Sandomierz 2015

Projekt okładki: Juliusz Susak

Na pierwszej stronie okładki: *Zimowy wieczór* (2012), fot. Elżbieta Sarwa

Na czwartej stronie okładki: *Andrzej Sarwa z kundliczką Rudzią
i kotem Włóczykiem* (2012), fot. Elżbieta Sarwa

Copyright © 2015 by Andrzej Juliusz Sarwa

Wydawnictwo *Armoryka*

Sandomierz 2015

ISBN 978-83-8064-116-7

Zostało mi po tobie...

Pamięci mojej Żony Eli.

Zostało mi po tobie uśmiechnięte zdjęcie
i w gardle skurcz bolesny
i ciągle czekanie
że może we drzwiach staniesz
jak co dnia
przez te blisko lat czterdzieści...

W głuchym oknie niejasne odbicie
mojej twarzy wpatrzonej w tę ciemność i pustkę
co ciszą się rozpełzła od zmroku do świtu
dusznych nocy samotnie liczących sekundy...

Tyle niedopowiedzeń
a był czas po temu
żeby nic nie dzieliło a łączyło wszystko
tyle skier z kropel rosy
słonecznych plam tyle
mgieł i szarug jesiennych gdzieś odeszło...
i pies sąsiadki już cię nie pamięta...

Zostało mi po tobie uśmiechnięte zdjęcie
i w gardle skurcz bolesny
i ciągle czekanie

że może we drzwiach staniesz
jak co dnia
przez te blisko lat czterdzieści...

Ale w szafie ubrania
zamknięte w komplecie
i tylko buty rządkiem stoją
gotowe do wyjścia...

I moje też gotowe
tylko...
nieposłuszne serce
ciągle bije... i bije...
zatrzymać się nie chce...

12. 11. 2014

POCHODY

*Gdybym był królem,
zakładałbym katedry,
żeby nauczać milczenia.*

Lope de Vega

Pochody

Idą, idą dalekie i srebrne
niosą, niosą na stopach
grudy zapomnianej ziemi
skrzypią drzewca sztandarów
powiewają pąsowe i złote
płachty klaszczą na wietrze
płachty drą się z trzaskiem.
Odejdźcie czym prędzej truchła
do spróchniałych trumien
niech was przytrzasną wieka
na następne wieki
po cóż nam wytykacie
iżeśmy nie lepsi
po cóż nam wytykacie
żeśmy tacy sami?

Idą, idą z daleka
skąd?
Któż wie to?
Idą, idą z daleka
dokąd idą?
Któż wie to?

Pobrzązowały liście
w wawrzynowych wieńcach
zaśniedziałe
królewskie korony
z brzękiem toczą po bruku
przydeptują stopami
ci, którzy ciągle wierzą
iż lepsi
od królów.

Przepróchniałe na oścież
drzwi do końca świata
do dnia sądu
co straszyć będzie
trąbami i morem.

Szarość i mgła
od skał odbite powracają echa
cierpki wieczoru smak
chłód rosy na stopach.
Migocą, migocą
złociste i srebrne
daleko, daleko do gwiazd...

A potem znów dmą w trąby
a potem znów wykrzykują słowa
których nikt nie rozumie
choć rozumieć by pragnął.

Sypią się dnie jeden po drugim
wyłuskują z wieczności chwile
zamyślenia powroty

nieme bunty
upojenia rozkosze i żal...

A wszystko, wszystko dla nas
a wszystko, wszystko na próżno
nie zostawcie nas przecie
pośród drogi wiodącej donikąd.
Nie czekajcie aż słowa
których wciąż jest nam mało
napęcznieją urosną
pozlepiają ze sobą.

Na cokołach poważni święci
o pokaleczonych twarzach
czasem wyciągają ręce
ku niebu,
a czasem kryją je wstydliwie.
Zapatrzeni w korony drzew.
Oprószeni śniegiem,
albo drżący gdy listopad
siecze zimnym dżdżem.
Na cokołach
poważni święci
z tamtych czasów
co nie były
naszymi czasami
choć bez nich
nie byłoby nas...

Palce biegają po klawiaturze
Bach omywa sklepienie katedry
z niedojrzałych modlitw

Spłukuje grzechy z krat
konfesjonałów
gdzie przyłgnęły
cuchnące i lepkie.

Madonny ze starych obrazów
z bizantyjskich ikon
nie znają uśmiechu
ich smutek wtóruje nam
co dzień od nowa
i od nowa...

Chryste gotycki
o bolesnej twarzy
proszę unieś powieki!
Nie możesz wciąż milczeć.

Otwórz usta
starczy że otworzysz.
Nawet słowa są zbędne
niepotrzebne gesty
jeżeli zobaczymy
poruszenia warg
opuchniętych
od uderzeń pięści...

A oni ciągle idą
nie ustają w drodze
kiedyż my dołączymy
do owego orszaku
bez końca?

A oni ciągle niosą
podarte sztandary

choć ręce już omdlały
i zgrabiały palce
smagane wiatrem zimnym
ustawicznych zim.

Pąki na drzewach
pęcznieją sokami
nie dla nich przecie
pęcznieją
nie dla nich!
Tamte pąki
niegdysiejszych wiosen
dawno się już rozwiły
i pożółkłymi osypały liśćmi...

A przecież przyjdzie jedna
taka chwila
że orszak się zatrzyma
– przewodnik przyklęknie
splugawioną koronę
otrze połą płaszczą
oczyści z kurzu
obetrze z płwociny
obręcz błogosławioną
dla której
przeszłe pokolenia
nie miały nic
prócz klątw i szyderstwa.

I wówczas precz odrzuca
pąsowe i złote
potargane na wichrach sztandary.

I wówczas precz odrzuca
drzewce nadjedzone czasem
dawno sfalsywiałych prawd.

Tymczasem jednak
ciągle jeszcze idą
choć sami nie wiedzą
jak daleka droga...

Tymczasem jednak
rytm wybijają stopami.

Tymczasem jednak
znaczą ślady w kurzu
wijących się dróg...

Tymczasem jednak
wciąż powiewają
pąsowe i złote...

A przecież się zdawało
że starczy zaprzeczyć
wszystkiemu w co wierzyli
od lat i stuleci.

A przecież się zdawało
że życie będzie prościej
jeśli nikt prócz
nas samych
nas samych
nie będzie mógł krzywdzić...

Śród supernowych
czerwonych karłów
w zamęcie mgławic
coś nas za gardło

chwyta i dławi
usta zasnuwa sieci pajęczej
cieniuchną nicią
i chociaż w piersi
krzyk straszny wzbiera –
nie krzyczą...

Rozbijcie sarkofagi
przepróchniałe kości
wydobądźcie z ruiny
pozaprzeszłych dni.
W życiodajnym omyjcie je winie
przyodziejcie
w pancerze
osłońcie hełmami...

Ciągle czekamy cudu,
a cud nie nadchodzi –
nie nadchodzi
bo przecież
nie jesteśmy godni
żeby niebo dawało nam znak...

Noc rozpełzła nad światem
ciemna i milcząca
jedna z wielu
lecz przecie nie taka
jak inne.
Nienasycona noc!

Tymczasem jednak
czy doprawdy warto

w pośrodku owej nocy
oczekiwać cudu?...

Przestańmy wierzyć
że niebo nad nami
opustoszało
i milczą umarli
przestańmy czekać
błyskawicy onej
która rozpali w nas
dusze zduszone
przestańmy wołać
za zblakłym majakiem
w oczekiwaniu
że się urealni...

Nie ma w nas duszy?
Otóż nie! – jest dusza!
Nie ma w nas wiary?
A gdzież się podziała,
ta hołubiona,
ta umiłowana?
Przestańmy czekać
tej sprawiedliwości,
od której gęby popuchły
głoszenia
zbądźmy się wreszcie
owej naiwności
która nam czekać
wciąż czekać kazała...

Dlaczego już nocami
nie słycać
szmeru korników?
Dlaczego świerszcz
za piecem
oniemiał na dobre?
Dlaczego dni
utraciły podobieństwo
do snów?
Dlaczego zobojętnieliśmy
na codzienne deszcze?
I dlaczego nie starcza czasu
na codzienny rachunek sumienia?...

Każdego dnia
gdy pytamy
(nie ważne o co
o cokolwiek)
ów zwierz
o strasznej twarzy
uczłowieczonego anioła
zagląda przez szybę
i prosi.
Jego głos
nie dociera
do naszych uszu.
Z ruchu warg
odgadujemy że prosi
i wówczas
nasze pytania
stają się nieważne.

A ten spoza szyby
ciągle porusza wargami
jakby próbował
odmawiać modlitwę...

Tymczasem oni idą
rytm wybijają stopami
dołączmy do pochodu
niegdysiejszych widm
które idą dalekie i srebrne
niosąc, niosąc na stopach
grudy zapomnianej ziemi.
Skrzypią drzewca sztandarów
powiewają pąsowe i złote
płachty klaszczą na wietrze
płachty drą się z traskiem...

Pobrązowiły liście
w wawrzynowych wieńcach
zaśniedziałe królewskie korony
z brzękiem toczą po bruku
przydeptują stopami
ci którzy już nie wierzą
iż lepsi od królów...

TARNINA

*Świat cały nie ukazał oczom twym nic a nic,
Za nic wszystko, co mówiłeś, i coś słyszał za nic...*

Omar Chajjam
(przeł. A. Gawroński)

My

Od dziecka niepotrzebnych
wyuczeni rzeczy
z mlekiem matki
wysysający nieufność do świata
po plemniku dziedziczący
nieziszczalne marzenia
stukamy sennie po chodnikach
poszukując odpowiedzi
na niezadane pytania
potrafimy być zakłamani albo święci
w zależności od nastroju
i z rozpaczą bronić człowieczeństwa
wbrew jego dewaluacji
my nie dowodzimy słuszności
kwaśnym piwem
którego los nawarzył
gdy byliśmy embrionami
narażonymi na ręce z zewnątrz
nasze pragnienia
są nietrwałe jak miłość motyla –
ale mamy też poczucie odrębności
od pustych słów
niesionych przez wiatr

Współcześni Odyseusze

w tłoku ulic zagubieni
chodnikami się toczą
współcześni Odyseusze
wstępują do hadesu
na małe piwko
i wtedy kopnięty Argos
ucieka z podkulonym ogonem
Ich Penelopy nie tkają
i nie rozdzierają szat
ich Itaki są odleglejsze
od archipelagów
i gwiazd Peloponezu
ale od czasu do czasu
w zakamarkach serc
uwiera cierń
niespełnionych snów

Niobe

Zatraciłam się w tumanie
światowej elokwencji
zdradziłam święte
wbrew charyzmatom dzieciństwa

(nieudana transplantacja)

pogardziłam strawą
podaną na dłoni
tylko oczy stały się twarde
niby głazy
leżące na dnie przepaści

Tezeusz

W labiryncie konfliktów
szukam swojego Minotaura
w zawikłaniu mrocznych korytarzy
echo kroków wzywa pomocy
ale kamieniom wypiętrzonym w ściany
zoperowano mózgi
i nie rozumieją słów
odbijających się
od ich uschłych uszu

Ariadno,
czemu mi dałaś zetlałą nić?

Cezar

promieniu co przez listowie
starego dębu spływasz
promieniu którego nie dostrzeże nikt
prócz mnie i ducha
mieszkającego w rozwalinach twierdzy
cieniu czuwający nad moim snem
cieniu niosący na swych stopach
początek jesieni
 kobieto bez której
 może mógłbym
 schwytać dojrzałe jabłko
 albo odnaleźć słodkość
 w plastrze miodu
nawet purpura nie skryje
świtów pełnych lęku
może sen
lub sokiem wezbrana
kiść winogron
albo gładkość skóry
natartej oliwą
albo ja i nic więcej
wszyscy?
Tu nie ma nikogo!

Orfeusz

Żadnej posady nie zagrzałeś
twój śpiew demoralizował
chłoporobotników
i nie można cię było przeliczyć
na roboczogodziny.
Wszystko zmieniło się
dopiero wtedy
gdy Eurydyka ugrzęzła
słonecznym promykiem
w twoich oczach i sercu.
Odtąd milczący
nie odróżniając dnia od dnia
pochylałeś się nad maszyną
wykrawając z twardej stali
skibki chleba
rzadko smarowane masłem...

Ślepiec

białą laską śledząc przestrzeń
głosy w zaszyfrowanej
księżde miasta
obok mgławic
nieznanych doznań
obojętny
z poderżniętymi oczami
przepłynął

* * *

Rozwartymi szeroko oczyma
śledząc kształty ciemności
iluzje nocy bezsennych –
milczysz

Oczyma katowanego psa
wpatrzony w usta tych
co o szczebel wyżej
zapominając przysięg młodości –
milczysz

Nagi na prosektoryjnym stole
otwierając sezam mózgoczaszki –
milczysz

Zapatrzenie

Błysk się rozległ po twarzy
jak kłaśnięcie
pistoletowy wystrzał
w imię miłości
– A pola były bezkresne
mówił
i nie miały horyzontów
– Panie o czym pan opowiada?
Pyta wyrośnięty krasnoludek
metr osiemdziesiąt wzrostu
który się nim opiekuje
– A pola były bezkresne
i nie miały horyzontów
Słowa sypiące się sznurkiem
przez grzędy pól zaoranych
i wrony lecące nad polem
ściągają mu głowę z ramion
Gdyby mógł to by powiedział:
jaki sens ma opieka
nad chorym umysłem
który nie chce być uleczony?
– A pola były bezkresne – powtórzył
i nadstawił drugi policzek...

Epitafium

goniąc cienie snów
i uporczywie
czepiając się życia
żył przekonany
że wszystko jest jawą
lecz kiedy odkrył
tajemnicę bezsensu
znieruchomiał centaurem
zatrzymanym w pędzie

Romałe, Romałe¹

I.

W tym taborze bez powietrza
bez duszy bez nieba
połamano skrzydła ptakom wędrownym
oskubano dzikie gęsi
z ich piór zrobiono poduszki puchowe

II.

na rogach zmokniętych ulic
w kwietnych kieckach czekają
otoczone kolczastym drutem
niewidocznego horyzontu
sinymi dłońmi przewracają
zatłuszczoną talię kart
głodne leśnej głuszy
czasem głaszczą
włosianego diabełka
ukrytego w pustej kieszeni
w pustym sercu

1 cyg.: Cyganie, Cyganie.

* * *

urodzeni pod złymi gwiazdami
nie umiemy odszukać drogi ku jutru

błądzący po krętych ścieżkach
wiodących donikąd
okradamy samych siebie z serc
naszym dzieciom rabujemy dzieciństwo

żyjący w atomowej erze
erze podboju gwiazd
podbici i pobici na głowę
bez celu i sensu
biegnący ku śmierci
przez samych siebie oszukani...

* * *

każdy embrion
zarodek lepszego jutra
czeka swojej chwili
czasu narodzin
swojego czasu

my przeobrażeni
nie potrafimy czekać
nasz czas się skończył
zbyt późno
zrobiliśmy krok do przodu

Mój synek

mój synek który
nigdy się nie narodzi
już się rozchuliganiał
oplątał się marzeniami
na gwiazdkę czyha betlejemską
niepoprawny jak ojciec
który go nigdy nie spłodzi

inne dzieci pluszowym misiem
bawią się w parku
a ty synku gdzieś na gwiazdce
cholernie się nudzisz
mógłbyś wreszcie zejść
obłoczkiem małym
uradować ojca...

* * *

nie będziemy splatać
kunsztownych rymów o miłości
dziś się upijemy
zmrok i aniołowie uciekający
spod latarni
i ten niesmak
i to wielkie nic

szczęście mieszka
w matczyńskich rękach
w nieogolonej twarzy ojca
w suszonych śliwkach
i świątecznej choince
i czasem jeszcze
w wielkanocnym baranku alleluja

te same drzewa
te same domy
tylko my be piania dalekich kogutów...

* * *

poderwać panią?
nie
ja, zagubiony w kasjopeach
i aldebaranach
majowym wieczorem
proszę się nie uśmiechać
pani nie rozumie,
że nic mi nie może
ofiarować?
te trochę tkliwości
wolę zachować dla gwiazd
i kwitnących sadów

Codziennosc

1.

piszą nas przez kalkę
jak rachunki w sklepach państwowych
wytwarzają w seryjnej produkcji
różnimy się tylko
indywidualną oceną
wartości pieniądza

2.

gdy wypijemy małą wódkę
jesteśmy poetami
gdy wypijemy dużą wódkę
jesteśmy rewolucjonistami
a kim jesteśmy
po pięciu dużych wódkach?
nawet mróz nie ma do nas dostępu

3.

zazdrozczę schizofrenikom
schizofrenii
świętym świętości
obnażony przez swoje upodobanie do mistyfikacji
tajemniczy w swoim obnażeniu

Codziennosc 2

1.

z pajęczyny utkane nasze życie
nie dostrzegając piękna
odliczamy kroki ku wieczności
każdego dnia
ubożsi o jeden dzień

2.

dzikie bzy
rozrosłe na mogiłach
oczy umarłych
opętane żądzą zmartwychwstania
i my
obojętni na czas
spijający z nas rosę
na nowo budzących się
poranków

Codziennosc 3

dzień
w przełyku gorzkość
w oczach gorzkość
starsza pani czeka autobusu
relacji ona-nikąd
(a niebo jest błękitne jak nigdy
a na łące żółto od kaczeńców)
jakiś pan nerwowo liczy
chodnikowe płytki
ładnej dziewczynie
wiatr rozwiewa włosy
w bezmiarze nieba
drzewa pienia się kwieciami
pusto...

* * *

jesteśmy sami
cisza wydzwania jak skowronek
przez cały dzień
dźwigamy nasze szczęście
od czasu do czasu przystajemy
wypatrując wieczoru

radośni jak dzieci
w bezrozumnej galopadzie
mijamy brzaski i mielizny
konstelacje gwiazd
nie mów mi
że nie warto żyć...

* * *

my i noc
i gorycz w ustach
my i świt
i ostry smak przemijania
my i dzień
i jeszcze jedno słońce

nie-Opatrzność nas zaopatrzyła
w serca
tętna
i krew
i żal
wieczorami na żytnich snopach
uroszeni
płynący w chłodzie
wierzby z nas kręcą fujarki
by grać – przegrać

* * *

wymazując z pamięci
zapis przeszłych zdarzeń
tkasz całun
nie-dziewiczy welon
haftujesz złotą nicią
promieniem wydartym
słonecznej koronie
obrazy przeszłych –
– przebrzmiałych wydarzeń
Eurydyko zdradzona
Arachne zmieniona w słowika

ciągle czekasz
że los spłynie
w nowe łożysko
ciągle czekasz
na bolesny
skurcz macicy
na płód który przeżyje
twoje zapomnienie...
...nie oczekuj

Opętanie

Noc rozbłysła zębiskami gwiazd,
krwi utoczy krwi słonawej
posmakuje wargami,
szpon księżycy wbije
między oczy,
szeptem mroku
omami otumani.
I będzie drzeć bebechy
rozszarpie wątrobę,
z parującej ciepłej wysie żółć.
I co dalej?
Skostniejesz w mrozie życia,
w oddechu ostatnim,
który jeszcze się żarzy jeszcze tli...

Jaki spokój aniołowie in excelsis deo,
wszystko płynie ku lepszemu jutru,
twoja łódź bez żagli bez steru,
spokojniutko wędruje po falach,
i nadzieja i miłość i wiara,
w ich płomieniu grzejesz serce,
obracasz je w dłoniach,
białe gęsi pasą się na błoniach,

białe gęsi-radości skubią trawę,
rozkosz – prężysz ciało syty,
mocny boży,
słowo staje się ciałem,
w twoim tchnieniu,
i w żar wielki się zmienia,
rozpłomienia wybucha.

Leszczyna prószy złotym pyłkiem,
pierwszy motyl skrzydła wystawia ku słońcu,
brudny śnieg się ukrył w rozpadlinach,
zakwitają pierwsze stokrotki.

Wiatr – ciepły wiosenny podmuch
ścina krew.
Gdybyś mógł gdybyś tylko mógł,
ostry nóż ostry lśniący nóż –
wbić mu w gardziel,
leżącemu nawtykać kopniaków,
rozbić czaszkę i wytrząsnąć mózg.
Nie chcę kaczeńców,
nie chcę dzwonków liliowych,
nie chcę róż,
ani nawet gałęzi jaśminu.

Chcę jutrzeńki,
gwiazdy porannej,
w fiołkowym twoim oddechu,
jaśniejszego od słońca,
pragnę grzechu.
Pragnę ciebie,